Nr. 14. We Lwowie dnia 4. kwietnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Józef Ignacy Kraszewski.

(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ZGONU).

Po Chmielowskim co tu pisać o Kraszewskim? Zapewne, ani tak dobrze, ani tak obszernie, ale jednak coś jeszcze napisać można. Pozwala na to i do tego zachęca sama natura umysłowości ludzkiej. Mózg nasz jest zwierzęciem żarłocznem: pożera zjawiska świata, przerabia je na wrażenia, myśli, przekonania, zasady, ideały i wytwarza z nich umysłowy nasz, duchowy organizm. Pamięć jest jego siłą zachowawczą, jego strażnicą: co raz wprowadziła, to się już nie wydrze z wnętrza i żyć w nim będzie, żyć musi. Własność tego wnętrza stanowi jedyną niezbywalną własność człowieka, bo jest nim samym, daje mu jego indywidualność. Jeden mózg pożera inaczej, niż drugi i inaczej żer swój na substancję organiczną przerabia. Bez tego *inaczej* nie byłoby życia. A w dziedzinie literatury i sztuki prawa indywidualności są wyższe jeszcze, niż we wszelkich innych.

Ale mózg nasz jest nietylko cefalopodem, wysuwającym coraz dalej swe ramiona na teraźniejszy świat zjawisk i miniony świat wypadków: jest on jeszcze zwierciadłem, w którem oba te światy formami swemi się odbijają. I tu znowu jedno odbicie jednego i tego samego przedmiotu niepodobne jest do drugiego. I znowu to zwierciadło jest jakby żywą istotą: czuje, pragnie, potrzebuje odbijać w sobie to, co się przed niem przesunęło. Choćby gorzej od innych, ale odbić musi. I znowu w sprawach literatury i sztuki podmiotowość ma nad przedmiotowością przewagę bezwzględniejszą, niż w jakichkolwiek innych.

Gdym przed jubileuszowym rokiem Kraszewskiego (1879) z konieczności odczytywał monografję domu Kraszewskich, uderzyło mnie, jak ta krew mazurska, rozpraszająca się na wszystkie strony, po Wielkopolsce lechickiej, Wołyniu, Litwie, Ukrainie, Galicji — wróciła do swego gniazda na Mazowsze, gdy miała z siebie wydać największy swój twór i zaszczyt najwyższy: *tytana pracy*.

Potrzeba było może grozy wypadków Wielkiego Roku, aby p. Jana Kraszewskiego z pod Prużany sprowadzić do Warszawy, ale dość, że groza z zewnątrz zrobiła to, na co wola wewnętrzna nigdyby się nie zdobyła: p. Jan zjechał z całą rodziną do Warszawy; Kraszewski urodził się też w Warszawie, o niecałe dziesięć mil od wyszogrodzkiego Szarzyna, gdzie owi Zdzierzkowie Jastrzębcy, potomkowie jednego z zabójców św. Stanisława, a przodkowie Kraszewskich, roili się już w XV wieku. Dziecię przyszło na świat dnia 28. lipca 1812 roku.

Wychowywało się w Romanowie podlaskim, między kobietami. Wcześniejsze i późniejsze, już w starości wspomnienia ukazują naturę uczuciową, miękką, rzewną, jedną z tych, które w czci znajdą zasadniczą formę swych dodatnich popędów, przywiązań, przyjaźni i miłości. Z poszanowaniem tradycji łączył się w duszy dziecięcej urok, bijący od tej przeszłości, która była dobrem przez to samo, że była życiem. Młodzieniaszek już miał swe skarby i świętości. Młodzieniec czuł potrzebę moralnego porządku — a rój społeczny uosabiał w istotę ogarnianą i przez przeszłość.

Pogłębienie etyczne duszy utrwaliło religijność, która w dziecku bywa zwykle tylko barwnym motylem.

Pierwszą naukę wziął chłopiec ze szkoły podwydziałowej w Białej. Nie był tu prymusem. Kiedy go oddano do Lublina, rozgniewał się o zbyt niską nagrodę, cisnął jakiś list pochwalny o ziemię i wrócił do ojca, do Dołhego. W ostatnim roku istnienia uniwersytetu wileńskiego pojechał na studja. Gdy uniwersytetu zbrakło, uczęszczał do akademji duchownej, do medycznej, słu-

chając tego, co miał do słuchania w przedmiotach przyszłemu literatowi użytecznych. Żałował tego bardzo, że się przed nim drzwi wiedzy tak prędko zatrzasnęły — ale muru głową nie przebijesz. Literatem już wtedy być zaczynał.

Pierwsza jego rzecz drukowana ukazała się w r. 1830 w noworoczniku Klimaszewskiego: wystąpił tu jako satyryk i humorysta — w samym już pseudonimie »Pasternaka«. Odrazu rwał się do wszystkiego: satyra, romans, powieść historyczna, słownikarstwo, badania historyczne, społeczne, literackie, artystyczne, przekłady z Paul de Kocka, a przy tem wszystkiem rozprawy *pro venia legendi* i poezje, pałające gorączką młodości — wszystko się znalazło w tej osobistości niezmiernie ruchliwej, szybko oddychającej, jakby pędzącej przez życie, a ujmująco zdolnej. Dusza weszła mu w pióro: niem myślał, czuł, rozumował, łajał, popędzał, powściągał — żył.

»Choćbyście mnie umęczyć mieli — wołał — ja pisać muszę!« — i pisał.

Nie myślano go umęczać, owszem, zachęcano do pisania, bo czytano. Jeżeli go mógł kto zamęczyć, to tylko on sam siebie.

Przeglądając *Tygodnik Petersburski*, zdumiewać się trzeba było nad ustawicznością i różnorodnością pracy pomiędzy r. 1835—40. O czem ten człowiek nie pisał! Zawsze go przeczytałeś, bo zaciekawiał, wiedział zawsze co i jak powiedzieć. Nie czułeś nigdy mozołu. Jak myśli, tak słowa same napływały. A literaturę jak i życie, pojmował odrazu organicznie, brał je w syntezie, w całościach. Uważając piśmiennictwo za świat przez siły twórcze i wpływy swoiste odrębny, pragnął go jaknajlepiej urządzić, upożytecznić, uobywatelić, aby się zdolności nie marnowały, kłosy wydawały ziarno, a ziarno nie padało na piasek lub w błoto. Namiętność literacka złączyła się w nim z publicystyczną. Dziwną przytem posiadał lotność. W dwudziestym już roku zacząwszy studja nad przeszłością od historji Wilna — o której potem rad był zapomnieć — utonął później w bibljotece, w archiwach, w szpargałach. Gdy się żenił, mówiono, że się żeni z bibljoteką — p. Urbanowskiego. Sam urządził sobie uniwersytet, który mu życie wydarło; sam douczał się łaciny, douczał historji myśli i życia, doucząc się musiał wszystkiego. Jedno drugiemu nigdy nie przeszkadzało. Wszystko się w tej głowie mieściło. Wszystko zgadzało się ze sobą: powieść, poezja, studja naukowe, przegląd artystyczny, krytyka społeczna, nowości zagraniczne. Do wszystkiego umysł był zawsze na posterunku, a czas posłuszny na rozkazy.

W jakiej półsetce tomów i tomików — tych było więcej, — które do r. 1840 wydał, bądź oddzielnie, bądź w *Tygodniku Petersburskim*, arcydzieł nie znajdziemy. Pierwsza powieść rozgłośniejsza, *Poeta i Świat*, jest jeszcze słabą i odznacza się tylko szczerem ciepłem uczucia. Więcej dawał Kraszewski myśli wybitnych, niż dzieł. A myśli ogarniały wciąż literaturę, sztukę, życie społeczne, chwytając je wszystkie w kleszcze samodzielnej krytyki, zawsze pod przewodem prawdy i dobra. Zanosiło się nawet na to, że może jeszcze lekki Pasternak zostanie pisarzem radykalnym, a co później w *W obrazach z życia i podróży*, jako człowiek, mający własne oko do

---

Moi przyjaciele za-uralscy.

(Z notatek wygnańca).

(Ciąg dalszy.)

Spojrzał na nas filuternie, znowu wyszczerzył zęby i, jakby odpowiadając komuś innemu, zaczął bełkotać:

— Chan umarł... Kirgiz przysięga dawał... Kirgiz ma nowy Chan... to Kirgiz może trochę wypić... Ale moja twoja znał. . — dodał powracając do dawnej myśli — wy u kupca G. na służbie.

Zaczęliśmy się śmiać do siebie z tej »służby« naszej i Kirgizowi powiedzieliśmy, że się myli.

— To któż wy jesteście? — zaczepił znowu. — Skąd wy? — nie miejscowi? — poczem wyjął małą flaszeczkę z tabaką, nas nią potraktował i sam zaczął wciągać nozdrzami.

— A ty skąd? — zapytaliśmy się go dla przedłużenia rozmowy, zaczynał bowiem ten wilk stepowy niezmiernie nam się podobać.

— Ja... niedaleko... z »koczówki« kirgizkiej... do miasta przysięga dawał... trochę wypił... Chanowi chce cały Kirgiz gościńca posłać... — w tem miejscu urwał i znowu niuch tabaki chciwie wciągnął. Nagle, jakby mu coś rozjaśniło zamroczony umysł żywym płomieniem myśli, ozwał się do nas, rzucając chytre spojrzenie:

— »Kupcie konia — tu zaczął wystukiwać po szkapie rękojeścią nahajki — sprzedam; skradziony koń, ale to nic.. świadectwo z urzędu dam... kupcie«.

Zdziwiła nas ta nieoczekiwana propozycja, ale też i obudziła żywszy interes dla tego, kto ją uczynił. I jakże tu nie nabrać ciekawości! Oto ktoś nam, ludziom cywilizowanego zachodu, proponuje kupno skradzionego konia, i robi to w sposób jaknajszczerszy, naiwnie, bez śladu wstydu, jakby sprzedawał rzecz, będącą najprawowitszą jego własnością.

A ty, człowieku »wyższej« kultury, ściskasz dłoń tego złodzieja-rabusia, gawędzisz z nim od kwadransu... i nie gorszysz się, nie oburza cię jego cynizm... nie krzyczysz na stróża porządku publicznego, lecz patrzysz z wyrazem podziwu, jakobyś miał przed sobą przedstawiciela nieskażonej, niezepsutej obłudą i udawaniem ludzkości... Tak było w istocie!

Zaimponował nam ten Kirgiz szczerością swoją i swobodą.

widzenia i własne do odczuwania serce, napisał, to się już w *Wędrówkach* przed r. 1840 znalazło w zawiązku. Raz wdrożywszy się w kierunek publicystyczny, miał już przez życie całe w nim wytrwać. Najświetniejsze są w tym zawodzie Kraszewskiego dwie epoki: na Wołyniu do r. 1859 i w kilka lat później, aż do wojny francusko-niemieckiej za granicą. W obu okazał się rzeczywiście umysłem wyższym nad otoczenie — dla wyższych — zawsze poziome, w obu stał się ogniskiem, zbierającem w siebie i wysyłającem w świat promienie światła niezbędnego do życia, które niema być prostem tylko trwaniem, grzęźnięciem lub rozkoszną po świecie przechadzką zmysłów i narowów. Od końca 1860 do początku 1863 r. redagował »Gazetę Polską«, redaktorem był wielce czynnym i dużo z siebie wydającym.

Już w początkach swego pobytu na Wołyniu zapragnął Kraszewski mieć własny swój organ: marzył o zreformowaniu umysłów nietylko w interesie literatury, ale i życia — co dlań było ważniejszem — i w r. 1840 założył *Athenaeum*, które od r. 1841 wychodziło przez lat 11.

Marzenie zwiększyło tylko liczbę snów ludzkich o szczęściu. Próba urzeczywistnienia go więcej przyniosła pożytku właśnie literaturze, niż życiu, a współpracownictwo z ludźmi, którzy mieli wszystko, ale nic w głębi, a jeśli co mieć mogli, to tylko wstecznictwo — przekonać musiało tego prawdziwie urodzonego pisarza, że najsilniejszym jest człowiek wtedy, gdy jest sam, gdy się na samym sobie opiera. Wytworzenie wszakże zbiornika i zachęcającej do pisania wytwórni rzeczy drukowanych — samo przez się podtrzymywało życie. Literatura, zwłaszcza pamiętnikowa, poważnie nabytkami z *Athenaeum* się wzbogaciła.

W okresie wołyńskim (do r. 1859) zabłysnął jako powieściopisarz. Już *Ulana* uczyniła go rzeczywiście poważanym, cenionym — siłą, wzbudzającą poszanowanie.

Nie była to, ani z przedmiotu, ani sposobu wzięcia się i przeprowadzenia — jakaś odosobniona próba, kaprys chwilowy: w piórze pisarza drgał nerw publicysty-obywatela, a życie — marne, błędów i obłędów nigdy nie syte — nie pozwoliło mu spocząć. Do »Ulany« przybyły: *Ostap Bondarczuk*, *Budnik*, przybył *Jermoła*, *Chata za wsią* wreszcie — równie jak *Ulana*, powieści ludowe, ludem i stosunkiem »inteligencji« do niego zajęte.

Nie wiem, co inni wybierają sobie z Kraszewskiego, ale ja najmilej zawsze sięgam myślą i ręką po te powieści, w których lud jest i bohaterem i zarazem ofiarą. Tak głęboko, jak Kraszewski, nikt doli i niedoli jego nie odczuł.

Sypały się i inne powieści, przeważnie obyczajowe, obracające się na osi miłości rodzajowej, wśród nich także i społeczne — a wszystkie przedstawiały społeczeństwo wiejskie.

Powieści historycznej, w której Michał Grabowski wróżył autorowi *Kościoła Ś-to Michalskiego* świetną przyszłość, dotychczas niewiele się dostało. Dopiero w ostatniej epoce działalności od osiedlenia się w Dreźnie — środek ciężkości padł na tę stronę. Po dawniej już dotkniętej epoce Stanisławowskiej wziął się Kra-

---

Nie wiedzieliśmy na razie, co mu odpowiedzieć... Wreszcie, któryś z nas powiedział mu, w braku lepszej wymówki:

— My nie Rosjanie..

Słowa te zelektryzowały Kirgiza... Zaczął wpatrywać się w nas uważnie, jakby niedowierzał... twarz jego żywiej zaczęła się poruszać. »Czyżby tu, na tych stepach moich odwiecznych, zabranych i odmierzonych przez Chana północy, mogli być inni jeszcze jacyś ludzie?« — zdawało się mówić teraz, jego chytro-dziecinne oblicze, »czyżby prócz wrogów, był tu kto inny, przyjaciel, nie przyjaciel, ale zawsze nie wróg?« Jeździec to przekrzywiał się z boku na bok, na siodle, to podnosił się na strzemionach, deptał koniem na miejscu — nie wiadomo, o co mu chodziło. Widać było, że się namyślał, co ma nam powiedzieć, wreszcie, z widoczną oznaką zniecierpliwienia, wyrzucił z ust piskliwym głosem:

— To kto wy jesteście? W grodzie mieszkasz... i nie ruski...

— Polacy — brzmiała odpowiedź; dwa nasze głosy zlały się w jeden, nadając słowu niezwykły akcent powagi i uroczystości...

Step lekkim poszumem uschłych badyli zawtórował słowom naszym.

Kirgiz osłupiał... Usłyszał dźwięk, z którym ucho jego oswojonem nie było, twarz jego wyrażała ból, spowodowany niezwyczajnym wysiłkiem myśli, nie trzeźwa głowa czyniła skupienie jej zbyt trudnem... Parę chwil przypominał coś sobie, wiązał w mózgu rwące się pojęcia, wahał się, w końcu rzekł powoli jakby nie był pewien tego, co mówi:

— »Aha... Bolak, Bolak... znam. — Bolak dużo był na naszej ziemi«.. poczem uśmiechnął się znowu do nas, jeszcze raz powiedział: »Kupcie konia« — i zaczął pospiesznie nas żegnać, wskazując ręką na gasnące za Uralem słońce... Za odjeżdżającym zdążyliśmy krzyknąć:

— A przychodź do nas na czaj, jak będziesz w mieście... mieszkamy w oficynie u kupca Jer... pytaj o Polaków-zesłańców... — Nie wiem, czy to ostatnie zdanie dosłyszał, gdyż zaczął oddalać się od nas galopem; chwilkę jeszcze sylwetka jego migała przed nami, zmieszana z cieniami zmierzchu, lecz niebawem zlała się zupełnie z ogólną szarością stepu... Zawróciliśmy do domu. Rozpytywaliśmy się później gospoda-

szewski do epoki Saskiej, a po sześćdziesiątym już roku życia przeciągnął przed powszechnością, dla której pisał, cały łańcuch obrazów przeszłości w tak zwanym cyklu historycznym. Doprowadził go znowu do czasów saskich, tak, że sumując całość, otrzymuje się od uroczych mgieł, blasków, mroków, szmerów i śpiewów, walk i pieszczot *Starej Baśni* do *Doli i niedoli* lub *Djabła kulawego*, całość prawie zaokrągloną.

Podczas pobytu w Dreznie oddał się poważnym studjom nad dziejami ojczystemi ostatniej doby, napisał dzieło, którego pomijać nie wolno, wydawał pamiętniki bardzo użyteczne; prowadził kronikę bieżącą życia na wszystkich obszarach, zapisywał, utrwalał, radził, nauczał, napominał, a przytem nieraz i wychłostał. Jak tępił krzywdę na Wołyniu, tak wyrywał chwast pesymizmu na nowej glebie czasu, bujnie się pleniący. Z ręką na pulsie odgadywał daną potrzebę, jeśli jej nie wyrozumiał. Wogóle jako publicysta, w całem swojem życiu nigdy nie będąc człowiekiem stronnictwa, nie przerzucając się na krańce, przez pomyłkę tylko zapuszczał się niekiedy w gąszcze konserwatyzmu, jak w *Athenaeum*, jak w *Chorobach wieku*, przy których zaszkodziło mu niedostateczne pogłębienie umysłu. Zresztą usiłował stać zawsze i stał na stanowisku centralnem.

Co go spotkało w Dreznie, jak i czem zakończył się zawód literata i powieściopisarza: wszyscy jeszcze w żywej mają pamięci. I śmierć też, która przed 10. laty, dnia 19. marca 1887 r. wyrwała go z pośród żyjących, na obcej ziemi, w Genewie — jest wypadkiem, którego okoliczności przypominać nie potrzeba. Co tylko w pamięci żywych ożywiać wypada, to tę spójnię wielkiego talentu, wielkiej pracy, wielkiego pisarza, płodnością i wszechstronnością swą zdumiewającego, z człowiekiem czystym, żywo czującym — ustawicznie stroskanym o dobro, światło i życie wszystkich.

I takiemu człowiekowi i pisarzowi, po latach dziesięciu, postawiliśmy nareszcie skromny pomniczek w kościele.

Czytajmyż go przynajmniej.

(Kurjer Codzienny). *Stanisław Krzemiński.*

Opowiadanie Kozodoja.

(Z „Dzwonu zatopionego“ Hauptmanna).

Polana leśna, owiana szumem jodeł.

WODNIK. KOZODÓJ.

WODNIK.

Cóż tam u ciebie w domu?

KOZODOJ.

Ot, tak sobie.
Tu u was ciepłem pachnie, że aż miło!
U nas tam w górze wiatr świszczący hula.

---

rza naszego, czy nie słyszał co o Kirgizie, którego zrobiliśmy mu opis dokładny.

— A ktoby go nie znał — odparł uśmiechając się — toż to, znaczy, złodziej koni, Achmet Sigiryhajko... Dawnoby szelmie psu należał się stryczek... bieda, że go dotychczas złapać nie można było na gorącym uczynku... Chytry, jak wąż... zawsze się z rąk wymyka... Przyjdzie na niego zły czas: nie podarujemy...

W parę dni, po opisanem spotkaniu, wypadał targ tygodniowy w naszem miasteczku. W dnie targu wychodziłem zwykle na »bazar«, trochę, by nudę odpędzić, trochę w celu przyjrzenia się mieszkańcom okolic uralskich, — rzadziej, by co kupić. Znano nas tu wszędzie, witano niemal przy każdym sklepie, pokazywano nieraz sobie palcami i szeptano znacząco, gdyśmy, otuleni w baranie tułupy, przechodzili zwolna ulice bazaru, zatrzymując się tu i ówdzie, pozdrawiając znajomych, lub przypatrując się właśnie jakiejś malowniczej grupie baszkirsko-kirgizkiej, żywo wymachującej rękoma, gdy nagle ktoś za mną krzyknął z daleka:

— Hej, pan, pan! jak się masz?

Obejrzałem się: o kilkanaście kroków unosił się na koniu jeździec i nahajką dawał mi znaki; poznałem w nim naszego znajomego Kirgiza, siedział tylko teraz na roślejszym koniu i pijanym musiał nie być, bo trzymał się na nim, jak nie można lepiej. Chciałem udać, że go nie spostrzegam.

— A nuż — pomyślałem — zechce mi znowu zaproponować, i to wobec znajomych kupców W—skich, kupno skradzionego konia«. — Już myślałem o tem, jakby się ukryć przed wzrokiem Kirgiza, gdy wołania jego powtórzyły się; udawałem, że ich nie słyszę — nic to nie pomagało. Kirgiz był lepszym odemnie, nie rozumiał skrupułów i drażliwości człowieka najwyższej kultury, nie wiedział, co to »fałszywa sytuacja«; w paru podskokach konia znalazł się tuż przy mnie i wyciągając rękę na powitanie, przemówił dobrodusznie się uśmiechając:

— A ja twoja pan odrazu poznał...

Szczerość jego rozbroiła mnie zupełnie. Już nie dbałam o opinję sławetnych W—skich i, bez przymusu, wdałem się z jeźdźcem w rozmowę. Przy okazji pochwaliłem konia, na którym siedział.

— Chcesz? — sprzedam, — odparł mi na to; Ałłach kierym (Bóg jest wielki) — sprzedam; skradziona szkapka, ale dobra — sprzedam tanio!...

(C. d. n.). *W. J. Van Greyf.*

Nabrzmiałe chmury leniwie się wloką
i, wyciśnięte niby gąbka mokra,
puszczają wodę pod siebie... Ot! świństwo!

WODNIK

A zresztą cóż tam nowego, mój bracie?

KOZODÓJ.

Wczoraj na pierwszej użyłem sałacie,
a dzisiaj z domu wyszedłem sobie
w przedpołudniowej dobie.
Tak się spuszczając po grzbiecie gór,
w godzinę w gęsty zaszedłem bór.
Łamali kamień, kopali ziemię!
Ohydne plemię!
Nic mnie tak zgrozą nie napełnia zgoła.
jak kiedy widzę budowę kościoła,
a i te dzwony przeklęte!

WODNIK.

No i jak z chlebem mieszają miętę.

KOZODÓJ.

Lecz cóż pomogą płacze i jęki!
Już to nam trzeba znosić te męki..
Tuż nad krawędzią urwiska
krzyżem już błyska
ten kościół nowy
z wieżą, z kopułą na górze.
z ostremi oknami w murze!
Gdybym tak nie miał głowy,
już by nas tutaj pewnikiem
dręczył dzwon-potwór swym rykiem,
spokojnie wisząc na wieży,
a teraz on w jeziorze zatopiony leży...
Niech go tam czarty!
Piekielne były to żarty:
W postawie,
o kłodę sosny opartej,
tak sobie stoję w trawie,
tak się w ten mały kościółek wpatruję,
łodygę szczawiu żuję
i medytuję
o tem patrzeniu i o tej łodydze —
w tem, widzę,
motyl czerwony tuż przedemną siedzi
na jakimś głazie i tak się biedzi,
tak się trzepoce, tak się chyboce,
jakby ze strachu utracił moce,
i niby pije z przyłaszczki kielicha...
Wołam go z cicha...
W tę samą chwilę
to niebożątko motyle
na moim ręku siada!
Wiedziałem zaraz, że to sylfik miły.
A no więc gada
o różnych sprawach:
że się już w stawach
i po jeziorach żaby poikrzyły
i w tym rodzaju jeszcze to i owo,
czego już moje nie wypowie słowo,
bo już nie baczę...
I potem gorżko przedemną zapłacze,
a ja pocieszam, jak mogę,
oną niebogę.
I potem znowu opowiada dalej,
jak, wrzeszcząc »hejta i wiśta«, jak z bata
trzaskając, w górę tam pchali
dnem przewróconą żelazną maślnicę,
czy coś takiego. Do kata!
Straszne to było dla oka!
I zdjęła trwoga głęboka
wszystkie chochliki i wszystkie chochlice..
Mieli to dziwo — aż ci strach mnie bierze —
wciągnąć na wieżę
tego kościółka i potem
codziennie bić w nie ze żelaza młotem,
i wszystkie duchy ziemne zabić tym łoskotem.
Ja mówię: hm! ja mówię to! to!
No i sylfika już nie ma na ręce...
Więc ja się wtedy między kozy wkręcę,
het się nabucham i myślę: oho!..,
Po tej z trzech pełnych wymion uczcie mojej
żadna już dziewka kropli nie udoji.
Potem stanąłem na czerwonym moście,
przez który lezli nieproszeni goście —
ludzie i konie... — O, pomyślę sobie,
tutaj najwięcej cierpliwością zrobię,
i w skok za nimi po głazach i łozach..
Ośm szkap parska w parcianych powrozach,
zaledwie mogąc udźwignąć potwora.
Robiąc bokami i z drżącemi nogi
wypoczywały śród tej ciężkiej drogi,
by ciągnąć dalej... Dobra była pora:
wóz, z desek zbity, nie utrzyma dzwonu —
takem pomyślał i swoim zwyczajem —
jechali właśnie nad przepaści krajem —
ulżyłem trudu
tej ciżbie koni i ludu.
Na tej krawędzi kamiennego skłonu
chwyciłem koło: złamała się sprycha.
i dzwon sie zachwiał... szarpnąłem... do licha
stoczył się potwór w te przepastne głębie.
Hej! jak on skakał po skalistym zrębie,
jakby coś gonił,
jak on w podskokach dzwonił!
I tak na skały toczył się z skał,
hucząc i bucząc; z ciosu na cios
jak kula pędził; w ślad za nim grał,
hucząc i bucząc, echowy głos!
Toń go przyjęła na dnie, cała w pianie:
tam mu jest dobrze! tam niech on zostanie!

Przeł. *Jan Kasprowicz.*

Błędy językowe.

13. Nadużywamy wyrażenia *o ile*; nieptrzebno tu *o* śmiało można opuszczać, więc zamiast: „nie wiem, *o ile* tamten jest lepszym", lepiej mówić: „*ile* tamten jest lepszym" itp. A już ***na ile*** i ***na tyle*** są czystemi barbaryzmami.

14. Mówiąc o ludach dzikich, piszemy najczęściej nazwy ich z dodatkiem niepotrzebnego *s*, które jest cechą liczby mnogiej we francuszczyźnie; wygląda to tak, jakgdybyśmy mówili *Burbonsi* albo *Rotszyldsi*, zamiast *Burboni*, *Burbonowie*, albo *Rotszyldowie*. Więc nie *Papuasi*, *Zulusi*, *Zulusowie*, *Indusi*, *Eskimosy*, *Eskimosi* itp. ale: *Papuanie*, *Zuluanie*, *Indowie*, *Eskimowie* itd. A także nie *pampasy*, *ljanosy*, itp., ale: *pampy ylja* itp.

MICHAŁ WOŁOWSKI.

OBCY.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Biurko eleganckie, ale proste stało na środku pokoju, przed niem fotel wygodny, opodal kanapa, również nęcąca swoim sybarytycznym wyglądem, parę krzesełek mniej wygodnych z widocznem przeznaczeniem dla gości, wreszcie ściany wszystkie zasłonięte pułkami, na których leżały akta z fascykułami, księgi poważnej grubości, teczki z napisami: rachunki, faktury, weksle itp. Oto całe umeblowanie kancelarji, której każdy kąt przypominał cyfrę, pachniał spekulacją, zdradzał chłód człowieka, tutaj pracującego.

Ani jednego obrazka, ani krzynki poezji, najbieglejszy poszukiwacz tutajby nie znalazł. Zresztą, każdy mógł sobie to wytłómaczyć łatwo. Kancelarja służyć miała nie do poetycznych zachwytów, lecz do bardzo prozaicznej pracy.

Bronisławowi jednak było tu jakoś nie swojsko. Nie miał tutaj już żadnych wspomnień, nic go z tą bibułą geszeftu nie wiązało, obojętnie tylko rzucił na nią oczyma i usiadł w fotelu.

Nie. takiego wprawdzie spodziewał się powitania ze strony rodzonego brata, ale byle go zobaczyć, byle przycisnąć do serca, to mniejsza tam o resztę.

Czekał dosyć długo, zanim we drzwiach ukazał się człowiek dość jeszcze młody, z bokobrodami, wąsami wygolonemi starannie i w nieposzlakowanie pięknym garniturze, nie wysoki i nie nizki, blady, jak karta welinu, spokojny, jak posąg marmurowy, lubo przecież stał wobec niezwykłego faktu powrotu brata, którego od lat dwudziestu paru nie widział.

— Stasiu! jak się masz — zawołał pierwszy Bronisław, zrywając się z miejsca i tak jak na poczhalterji otwierając ramiona.

Ale i tutaj nie spotkała go serdeczność, odpowiadająca choć w części gorącemu jego powitaniu.

Staś wyciągnął do brata rękę po angielsku, poddał się uściskom, jak człowiek, którego przez siłę wtłoczono w kleszcze i przyjmując odpowiednią ilość pocałunków, z widocznym przymusem rzekł:

— Siadajże, bracie, nie donosiłeś mi nic o swoim powrocie!

— Chciałem ci zrobić niespodziankę!

— Jak ognia boję się niespodzianek! Wszystko w życiu przywykłem obliczać z systematycznością matematyczną, dlatego nie jestem ci wdzięczny, że tak spadasz, jak z deszczem na Zieloną.

Bronisław oniemiał. Nie takie powitanie spodziewał się zastać w rodzinnem gnieździe, przecież jeszcze chciał się łudzić, jeszcze szukał jakichś niezwykłych przyczyn, które brata tak usposobić mogły.

— Zmieniłeś Zieloną do niepoznania.

— Ha, inaczej nie można było w dzisiejszych czasach ekonomicznego przesilenia.

— Wyciąłeś las?

— Dobrze mi za niego zapłacili.

— Pobudowałeś cukrownię?

— Ha, to już zasługa mojego teścia.

— Ożeniłeś się?

— Jakto, nie wiedziałeś?

— Nic mi nie pisałeś o tem.

— Istotnie, przy nawale interesów, trudno takiemi rzeczami się zajmować!

— Żony twej niema w domu?

— Owszem, zajęta tylko gospodarstwem, każde z nas pracuje na swoją rękę, próżnowanie to grzech śmiertelny. Próżnowano na Zielonej długo i dlatego tylko cośmy z torbami nie poszli.

— Chciałbym poznać twoją żonę! — nieśmiało wtrącił Bronisław, którego zachowanie się brata zaczynało coraz bardziej przygnębiać; życzenie swoje wypowiedział mu też w tonie takim, jak mówi dziecko, gdy obawia się, aby czegoś niewłaściwego nie wyrzekło.

— A naturalnie, poznasz ją przy obiedzie. Boć sądzę, że na obiedzie w Zielonej zostaniesz.

To zaproszenie można było wyraźniej określić słowami: Mógłbyś sobie wynieść się do licha zaraz, ale kiedy już chcesz koniecznie pozostać, to wynoś się zaraz po zjedzeniu obiadu.

Bronisław jednak tak rzeczy nie zrozumiał, odparł więc, choć głosem nieco niepewnym.

— Zostanę.

— Poznasz też i moje dzieci.

— Ach, masz i dzieci?

— Troje tego dobrego i przychodzę do wniosku, że to zawiele.

— Zkimże się ożeniłeś?

— Już to, co do mego ożenienia, to wszyscy w okolicy zazdrościli mi go; zrobiłem to, co się nazywa partją świetną, ożeniłem się z baronówną Biberstein.

— Biberstein?! — powtórzył osłupiały Bronisław. — Jakiś Biberstein sąsiadował z nami, ale to był łotr i lichwiarz z pod ciemnej gwiazdy, ludziom podobno na fanty pożyczał.

— Ten sam właśnie — z uśmiechem zadowolenia odparł Staś, — dorobił się olbrzymiego majątku, a ponieważ Teosia jest jedyną jego córką, przeto ja po nim, niedługo prawdopodobnie, gdyż mocno w ostatnich czasach szwankuje na zdrowiu, odziedziczę miljony.

— Ty odziedziczysz te pieniądze? — zawołał Bronisław, zrywając się z miejsca, — Tyniecki dziedziczyć będzie kradzione, łotrowstwem zdobyte pieniądze!

— Dobry sobie jesteś mój kochany, jam przecież ani prokurator, ani sędzia śledczy, nie należy więc do mnie badanie źródeł majątku mojego teścia, któremu zresztą bardzo wiele innych zawdzięczam rzeczy.

— Ty mu zawdzięczasz?

— A tak. Nic nie zostało w Zielonej z dawnych czasów dzięki jego rozumnej radzie. Wyrzuciliśmy ztąd za drzwi wszystkie głupstwa, wszystkie entuzjazmy, pracujemy teraz organicznie. I my sami i wszystko tu koło nas żyje innem życiem, niż dawniej. Słyszysz, jak huczy koło fabryczne, inaczej to brzmi, aniżeli owe »wiśta« i »hejta«, które się dawniej rozlegało pod temi oknami. Czy wiesz, ile przeszłego roku miałem dochodu?... 30,000 rubli czystego. W tym będę miał dwa razy tyle z samej cukrowni, a w przyszłym jeszcze dochód powiększę, założę bowiem przy gorzelni dystylarnię, a wszystko to zawdzięczam nieocenionemu baronowi.

Bronisław słuchał tych matematycznych wywodów, jak bajki o żelaznym wilku. Nie wiedział, co ma na to powiedzieć, jak winszować bratu i zdobył się tylko na jeden frazes:

— Ależ ten Biberstein!

— Ten Biberstein — z pewną niecierpliwością powtórzył Stanisław, — jest przedewszystkiem mądrym człowiekiem, przybył do nas bez butów, a dziś jest baronem i ma miljony, bardzo porządny człowiek.

— A tyś szczęśliwy?

— Mój kochany, kto ma pieniądze, ma i szczęście.

— A ogół!?... bliźni.. bracia?...

— Facecje, mój kochany! Są to sprawy, które już dawno do lamusa nieużytecznych przedmiotów, do magazynu nieużytków wrzucono. To, co czynisz dobrze dla siebie, jest dobrem i dla innych. Niema człowieka u nas, któryby tej nie wyznawał zasady.

— Taak!

— Naturalnie, czasy poezji i wzdychań minęły bezpowrotnie, przyszedł czas na rozum, trzeźwość i praktyczność.

— Aha! to się nazywa rozumem?

W tej chwili do kancelarji wszedł jakiś oficjalista z raportem.

— Pozwolisz, że się załatwię — zawołał z partesu do brata pan Stanisław.

— Załatwiaj się mój bracie, ja pójdę przejść się nieco po Zielonej, tyle lat jej nie widziałem.

— Proszę, proszę, bądź jak u siebie — dorzucił wielki pan organicznik.

Bronisławowi kręciło się teraz w głowie: poczhalter, kolega dawny i pijak, brat, który dla niego był zupełnie obcym człowiekiem, las, cukrownie, dystylarnie i t. p., tak, że nie był w stanie w chaosie tych wrażeń się połapać.

— Ha, cóż robić — mruknął w końcu — powiadają, że świat zmądrzał, skoro tak więc, ja tylko jeden zgłupiałem. Jeśli jednak ludziom to pożytek przynosi, to Staś ma słuszność.

Ale niebawem pan Bronisław mógł się bardzo dowodnie przekonać, że teorje brata, dały tylko jemu samemu szczęście, że ci wszyscy, po za nim stojący, tylko nędzą swą poszczycić się mogli.

Obchodził chaty dawniej zamożne, dziś zastał je na pół rozwalonemi, a mieszkańców prawie w łachmanach. Wspomnienie ojca, które i dla niego było świętem, tym ludziom przywoływało łzę na oko.

— Dobry pan był! — mówili, — bieda dogryzła — dał, choroba nawiedziła, — leczył; nieszczęście dotknęło, — ratował!

— A dziś? a dziś?... — pytał skwapliwie Bronisław.

— Dziś psami ze dworu wyszczują, gdy człek z prośbą przyjdzie do pana, lokaje nawet nie dopuszczą.

— A pani?

— Pani nie może zrozumieć, co biedny człek do niej mówi, chociaż się ją gdzie przydybie.

— Aha! — szeptał do siebie Bronisław, daremnie szukając w swej głowie argumentów, tłómaczących postępowanie brata. Nie miał przecież odwagi teraz stanąć przed nim, powiedzieć mu, co widział, obruszyć się, zmiażdżyć gorącem słowem, przekonać, że to, co czynił, czynił źle i niegodziwie.

Okiem tylko rzucił na kilkanaście chat jeszcze, zamykających wioskę, ale nie miał chęci już przyglądać się ich wnętrzom, rozmawiać z ludźmi, gdyż obawiał się, aby nie były podobnemi do tych, które już odwiedził.

Poszedł do ogrodu tuż przy dworku położonego, który ze wszystkich starych urządzeń został się sam jeden na miejscu.

Po cichu furtkę doń otworzył i z radością spostrzegł na końcu alei dąb wyniosły; pod nim niegdyś siadał w dni skwarne po obiedzie, lub do wieczornych pogawędek, na które nieraz całe zjeżdżało się sąsiedztwo.

Pod dębem było pusto, ale on sam jeden oparł się nieszczęsnemu działaniu czasu, on jeden dotąd wytrwał na stanowisku, żył dawnem życiem.

Otoczenie tylko tego starego stróża domowej zagrody zmieniło się do niepoznania, po za nim widniała olbrzymia oranżerja.

Oranżerja przypomniała mu znów ścieżynkę, prowadzącą przez małą rzeczkę do sąsiedniej wioski. Na rzeczce był mostek dawniej, za mostkiem kapliczka ze świętym Janem.

Ścieżynka i mostek i kaplica także zostały, jakkolwiek tę ostatnią mocno czas poszarpał, a nikt o jej odnowienie widocznie się nie zatroszczył.

(C. d. n).

Ze śląskiej ziemi.

(Ciąg dalszy).

VI.

Beskidy śląskie, nie sięgające ani jednym szczytem poza linję lasów, tak się mają do olbrzymów tatrzańskich, jak — jeżeli porównania zapożyczymy z Olimpu — Venus do Jowisza. Tam wielkość, majestat, groza — tu świetlana krasa, wdzięk, powab.

A wśród malowniczej gór tych drużyny oko pol kiego wędrowca jedną zwłaszcza wyróżnia. Wabi go ona, nito rusałka o zielonym warkoczu, a zarazem nastraja jego myśli na ton uroczysty. Ta góra — to rodzica domowej naszej rzeki, wód naszych królowej — Wisły — ta góra — to Barania.

Barania wybiega na 1214 metrów ponad poziom morza i — niższa od Łysej o 111 m.— zajmuje co do wysokości drugie miejsce w Beskidach zachodnich. Linja graniczna, przeprowadzona jej grzbietem, dzieli ją na galicyjską i śląską połowę, ta ostatnia zaś należy do największej w Cieszyńskiem gminy Wisły, liczącej aż 5 tysięcy mieszkańców.

Wiślanie szczycą się Baranią, a zwłaszcza ulubioną Wisełką. „To je godna rzeka — mówią z dumą — nie zatraca się w nijakiej inszej i aż ku morzu niesie swoje miano“.

Odmienny zgoła charakter Wisełek: Czarnej i Białej — niedostępność ich źródeł, ich zespolenie się w jedną rzekę w cudnie pięknej dolinie, atmosfera tajemniczości, otaczająca samą górę, najwyższą w okolicy, gęstym zadrzewioną lasem, cofniętą z dala od wszelkiej siedziby ludzkiej — wszystko to silnie działać musiało na wyobraźnię ludu, z której też wysnuła się następująca o Baraniej i Wisełkach opowieść:

„Syn mocnego Karpata, Beskid, wzion se za żonem Boranem, *szumnom* (piękną) pasterkem. Pasterka ta pasła *dziwokie* (dzikie) zwierzęta i *wahowała* (czuwała) nad lasami. Juźci Borana miłowała wszeckie lasy i gory, ale najlepi szeł jej ku siercu ten groń najwyższy. Han na tym groniu *fereczyna* (paproć) zieleni się, jako morze, smreki dobrze wysokie, co jeny *dziwać sie* (patrzeć), jako nieba dochycą. Han i niedźwiedź bytem bytuje, i ryś po *stromach* (drzewach) śmiga, a dziwokie kozy (sarny) stadami, jako owce, chodzom“.,.

Możnaż się wobec tego dziwić, że — jak twierdzi dalej owa dawna opowieść — Borana obrała wspaniałą górę za miejsce stałego pobytu, że umieściła na niej kolebki swych dzieci i tu chowała, sobie na chwałę, ludziom na pożytek, syna Lana, oraz śliczne córki: Białkę i Czarnochę?

A gdy dzieci dorosły, matka kazała synowi czuwać nad rolą i łanami, córkom zaś oddała w opiekę wody i ryby. Dla spełnienia włożonych na siebie obowiązków, dzieci musiały matkę pożegnać i w świat wyruszyć.

Lan odszedł, nie oglądając się poza siebie, jako zwyczajnie mężczyzna, dla którego świat jest domem. I płocha Białka, wabiona ciekawością, pomknęła, zanosząc się perlistym śmiechem, żwawo na północ, w przepaścistą dal.

Inaczej Czarnocha. Ta łkała żałośnie, rozstając się z Boraną, a potem, obrawszy najłagodniejszą pochyłość południową, wolno oddalać się zaczęła od miejsca, gdzie stała jej kolebka. I dopiero spotkane na drodze przeszkody zbudziły ją z żałośnej zadumy, kazały chyżej sunąć po skalnych progach i pienić się z niecierpliwości Dotarłszy nakoniec do stóp wyniosłego Przysłupia, skręciła w kierunku zachodnim i nagle w uroczej dolinie pod Czarnym ujrzała nadbiegającą ze strony przeciwnej Białkę...

Stęsknione siostry padły sobie w ramiona, przysięgając wieczną przyjaźń, wieczną jedność i złączoną już falą pośpieszyły dalej na północny zachód. U progu jednak gór rodzinnych zawahały się, zdjęte obawą przed obcym, nieznanym światem. Jakoż wysłały najpierw na zwiady jedną tylko, kwieciem przystrojoną falę. Ta pierwsza fala *wyszłą* czyli Wisłą zwana, pędziła odważnie dalej i dalej, ku coraz innym górom zdążając, aż dotarła do morza, które ją gościnnie przyjęło. A ponieważ wszędzie po drodze ludzie ją witali z niekłamaną radością, więc w ślad za nią pomknęły i dotąd pomykają dalsze. Na pamiątkę zaś owej pierwszej, przybranej kwieciem fali, dziewczęta puszczają co roku w dzień św. Jana wianki na Wisłę...*)

Fantastyczna co do formy, ta opowieść ludowa w części swej opisowej prawdziwą jest, jak sama prawda. Lud ożywia tu, jak zwykle, rzeczy martwe, przypisuje im uczucia, dążenia, zamiary, ze świata ludzkiego zapożyczone, lecz poza tem odtwarza rzeczywistość z dokładnością dobrego obserwatora. Mieliśmy sposobność przekonać się o tem naocznie, gdy, pragnąc osobistą zabrać znajomość z matką Boraną, wybraliśmy się pewnego sierpniowego dnia w odwiedziny do niej liczną, wesołą bandą.

M. Wysłouchowa.

*) Porów. Bogumił Hoff: Lud Cieszyński, str. 1. Warszawa 1888.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie